

MYŚL POLSKA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

(b) W obronie wyższej świadomości.

W pewnych sferach mówią tak:

My pragniemy poznać subtelny i tajemniczy język religii, ale żądamy, aby przedstawiciele świętości również uszanowali nasz język; sądzimy, że poznawanie nieuchwytnych zjawisk nowych czasów ma podobną racyą bytu jak i poznawanie Nieswiadomego tonącej w mgłach epoki.

Dla wyznawców tej myśli staje się rzeczą niezrozumiałą dlaczego wiecznie — stosunki między niebem, a ziemią ulegały monopolizacyi. — Bo, jeśli prawdą jest, że człowiek może żyć tylko łącznie z elementem Wszechmocy i Wszechmiłości, to już nieprawdą jest, jakoby ilość ogniw ziemsko-niebieskich była ściśle i wyraźnie określoną. — Ciało nasze niepodobna oddzielić od Bóstwa to też i sztukę n. p. nikt nie zdoła odłączyć od religii. Sfery piękna i artystycznej twórczości należeć muszą do sakramentalnej części życia.

Niezrozumienie tej tendencyi znamiennej wpływa ujemnie na rozwój sztuki jakoteż i religii. — Wyniosłe mury świątyń opartych o tradycye dziejowe wieją niezwruszonym chłodem na pielgrzymów stęsknionych za wiecznością i rzucając na nich cienie gniewu, mrożą wszelką chęć pojednania — syntezy między sztuką a religią.

Ztąd wynika, że właśnie w łonie samego duchowieństwa rodzi się już opozycya. N. p. biskup Porfiryusz jeden ze znakomitych przedstawicieli kościoła pisze te wielkie i znamienne słowa. — „Nasze duchowieństwo jest kastą — i jako kasta

ma wrodzone wady. — Jeżeli w jego środowisku zjawią się świetne zdolności to ich siła wnet maleje wskutek jednostronności kierunku — stawiającego za ideał duszy — dzwonnicę.

Kierownicy seminaryów i akademii to przeważnie ludzie mało wykształceni i bierni. Kto ma n. p. wrodzony dar wymowy ten pod naciskiem żelaznych form albo niemieje, albo traci wpływ na społeczeństwo, które słucha tylko słowa naturalnego, żywego, płomiennego a nie napuszonych sylogizmów.

A seminarzyści, a akademicy nasi czyż mogą głęboko wniknąć w tajnie serca człowieczego i duchownych potrzeb społeczeństwa — wszak między nimi a społecznością — ściana".

Ten sam brak poczucia psychologii współczesnego człowieka zdradza i francuzkie duchowieństwo; to też rosyjski „Cerkiewny Wiestnik" zarzuca Watykanowi obojętność na bolesne powiastki rozczarowanych życiem pielgrzymów i pisze: „we Francyi już od ćwierć wieku powstają głosy nawołujące do pojednania z kościołem, ale zamknięte za murami papiestwo, nie chcąc się zniżyć do wysłuchania bolesnych tragedyi, tamuje prąd przyjazny religii, który wyradza się w cudaczne, mistyczne sekty".

I te są przyczyny dzielące „nas" i „ich". — „My i oni" to niby dwa obozy — oni nas nie czytają — my — ich. — „Nas nie czytają" skarży się archymandryta Eudokim, „a czytają „ich"; tych, o których my milczymy, a którymi oddycha społełeczeństwo i którymi żyje".

I jest to całkiem naturalnem nawet w oczach ludzi nie należących bynajmniej do „nas". — „Uważam za rzecz zupełnie naturalną" mówi prof. Wiedeński", że ludzie obcy teologicznej wiedzy nie czytają dzieł teologicznych — tam wszystko niezgrabne, ciężkie, prawie nie nęci.

W ogólnym materyale nauki teologia to niby regnum in regno — to sfera nieprzystępna, zamknięta".

Na nieszczęście „oni" omal to samo mówią o „nas". — Po czyjej stronie słuszność — to rozstrzygnie perspektywa stuleci.

* *
*

Kwestya o dogmatach i o dogmatycznym rozwoju kościoła należy bezwątpienia do kwestyi najbogatszych w rezultaty.

Mamy nawet radosną nadzieję, że porozumienie się w tej

sprawie, pogodzenie połączonych z nią niejasności doprowadzi do pokojowego zjednoczenia inteligencyi z kościołem, wszystkie bowiem spory pojawiające się między wymienionymi stronami, mają przecież też podstawę w różnych wyobrażeniach o dogmatach i o dogmatycznym rozwoju kościoła.

Badając charakter i osobliwości ujawnionych dotychczas różnic w zdaniach wśród inteligencyi i kościoła nie można pominąć kwestyi dogmatycznej.

Współczesna walka między kościołem a inteligencyą nie powinna być zrozumianą jako wynik zbytniej miłości lub nienawiści do chrześcijaństwa.

I dla pierwszych i dla drugich nie są obojętnymi interesy chrześcijanizmu, różnice więc nie w uczuciu, ale w pojęciu.

Występując przeciwko współczesnemu oderwanemu od religii światopoglądowi, inteligencya ujrzała się też zmuszoną wystąpić przeciw kościołowi nauczającemu, nie będąc w stanie pogodzić religijnego zapału i żywego uczucia z formami myśli uważanym przez pewną klasę za jedyne możliwe i zbawienne formy chrześcijanizmu.

Chrześcijaństwo historyczne przeoczyło bezwątpienia tę charakterystyczną cechę chrześcijańskiego religijnego rozwoju polegającą na tem, że w chrześcijaniźmie *„już nie uczą się wzajemnie, ale każdy uczy się sam* w bezpośredniem zetknięciu z Duchem świętym“.

Tradycye chrześcijańskie, te istotne źródła nauki chrześcijańskiej, są tradycyą „ducha życia“ a nie litery „nie w słowie bowiem Królestwo Boże, ale w sile i w prawdzie“ (I. Kor. IV., 20).

Każdy człowiek powinien wprowadzić Boga w sferę swego indywidualnego światopoglądu — u każdego nasienie ewangieliczne wyrasta na osobliwym gruncie.

Życie rozwija się jednocześnie na wszystkich punktach i chrześcijańska idea przenika wszędzie.

Bezcielesny duch naszej wiary przyjmuje różnorodne kształty człowieczeństwa — wciela się — niezmienna in essentia idea chrześcijańska mieni się in gradu.

Przez przeoczenie tej prawdy historyczne chrześcijaństwo zatrzymało się w swoim rozwoju wewnętrznym.

I oto widzimy, że przy najbardziej przyjaznych okolicznościach prawda chrześcijańska dojść zdoła zaledwie do serca — nie widzimy jej natomiast w naszym światopoglądzie, a to dlatego, że forma jej przestarzała „zbroja zbyt ciasno skuta“.

Platonizm to forma naszego chrześcijanizmu — wtedy, gdy każdy dąży do przyswojenia sobie chrześcijańskich idei ujętych w znajome, drogie kształty.

Religijnie myśląca część inteligencyi nie tylko szuka nowych form dla chrześcijańskich idei — ale i występuje przed dzisiejszym kościołem nauczającym z żądaniami wolności dla terminów indywidualnej świadomości.

Ztąd smutne rozdwojenie między wiarą i wiedzą nawet w umysłach religijnie nastrojonych.

Wiara — to coś niepojętego, obcego — wiedza to ich własne najmilsze i może istotne chrześcijańskie myśli.

I oto źródło antagonizmu między inteligencyą a kościołem nauczającym — przecież ten kościół nazywa ogólnie — obowiązującym i niezmiennym właśnie to — co w oczach inteligencyi nosi znamiona starej i znoszonej odzieży.

* *
*

Takie stanowisko uniemożliwia dyskusyą, która się zmienia w kolejne wypowiedzenie różnych teoryi.

Oto główne tezy przeciwnych obozów.

Jeden — przeważnie duchowni — broni niezmienności dogmatu; drugi — prawie wszyscy świeccy — jego zmienności, rozwoju.

Pojęcia I. obozu skrystalizowano w następujących zdaniach:

nie może być żadnego ilościowego powiększenia dogmatów, nic nowego — prócz objawienia;

dogmat to znaczy skonstatowanie faktu religijnego życia, opartego na religijnem doświadczeniu kierowanem objawieniem, dogmat to to samo, co objawienie przetłómaczone na osobliwy język;

wszystkie dogmaty chrześcijańskie ogniskują się w dogmacie wcielenia Bóstwa w Chrystusie;

raz na zawsze jako fakt objawionego życia dane dogmaty są całkiem nie do pojęcia i to co nazywają rozwojem

dogmatu, to jest tylko bardziej ścisłem skonstatowaniem faktu religijnego życia i określenie bliższe jego granic.

Na to powstał głos, że postulaty podobne robią wrażenie więzienia.

Takie dogmaty nie do pojęcia to kajdany i naukę posługującą się takimi kajdanami trzeba zniszczyć.

W taki sposób niezwłocznie zarysowały się granice dwóch kierunków o dogmatach i rozwoju dogmatycznym.

Na szczęście widzimy, że przyczyna nieporozumień nie tyle leży w bycie rzeczywistym, co w braku ścisłych definicyi.

Ani jedna, ani druga strona nie określiły ściśle pojęcia dogmatu i rozwoju.

Jak zobaczymy te dwa pojęcia nie wykluczają się bynajmniej, należąc do pojęć koncentrycznych, a nie ekscentrycznych.

Tymczasem zwrócimy uwagę na to, że definicye I. obozu ćmią od sprzeczności — wywołując mnóstwo niedomówień.

N. p. na pytanie co to dogmat? odpowiadano: „że jest to objawienie przetłómaczone na inny język — że jest to skontatowany fakt religijnego życia".

Ale taka odpowiedź nie sięga dna; pojęcie, objawienia pozostaje niejasnem. — Dogmat przecież to nietylko treść, ale i forma, a forma to rzecz względna, warunkowa. — Dlatego prawie jest pewnem, że nikt nie będzie twierdził, iż dogmaty ilościowo są określone wobec nieskończoności form.

Natomiast chętnie przyjęlibyśmy twierdzenie, że w danej chwili kościół posiada określoną ilość dogmatów przy tem ilość tu nie jest żadnym wymiarem.

Także i co do niezrozumiałości dogmatów można zapytać, czy ta niezrozumiałość wynika z istoty dogmatu, czy jest skutkiem okoliczności otaczających dogmat? W pierwszym wypadku dogmat nie byłby objawieniem, lecz oślepieniem i przepaścią między rozumem i wiarą. — Tu dochodzimy do szczytu absurdu i dajemy, przeciwnikom naszym najskuteczniejszą broń.

* * *

Ciekawe dalsze spory.

Obrońcy niezmienności dogmatów oparli się na trzech poglądach.

Jedni mówią: Dogmat — to nie tylko prawda boskiego obja-

wienia, ale i wyraz ludzkiego zrozumienia tej prawdy. — W dogmacie Bóg i Człowiek współdziałają i dlatego właśnie dogmat jako dzieło, bądź co bądź, po części boże ma być niezmiennym.

Inni wyrażają trzy myśli — 1) objawienie musi być pojętem w przeciwnym razie nie będzie ono objawieniem, 2) rozwój dogmatyczny polega na stopniowem wcielaniu się dogmatów w terminy naukowe i filozoficzne, 3) w krajach nizkiej kultury nie ma jeszcze religijnej twórczości, ale ona staje się możliwą przy podwyższonym stanie kultury.

Tak mówiąc nie uwzględniali oni tej okoliczności, że twórczość religijna płynie tam, gdzie poczyna się wolne obcowanie z bóstwem, a nie tam, gdzie panuje niewolniczość wobec form.

Właśnie tam, gdzie chrześcijanizm dzisiejszy milczy, albo ciska gromy — właśnie tam, gdzie zlękniona i zbolała myśl szuka pełnego tajemnicy źródła duszy ludzkiej — tam gdzie rozbrat między świadomością a bytem dochodzi do szczytu i wywołuje widma krwawe.

I z tego okropnego położenia wychodząc słusznie mówią: że dogmatyczny rozwój kościoła nie wyrzekł dotąd ostatniego słowa.

Stoimy dziś niemi wobec kwestyi przejmującej bólem, wobec kwestyi antropologicznej. — Tajemnica człowieka jest mniej wyjaśnioną od tajemnicy Bóstwa.

I w tym bólu natura nasza się zmienia; nie mogąc dojść do prawdy zapragnęliśmy zatrzymać się, niby wojsko w polu i tu na miejscu stworzyć prawdę.

Chcemy tworzyć — dochodzenia, badania dowiedły nas do rozpaczy — chcemy tworzyć . . .

W każdej kropli krwi naszej milion światów woła o jasność — każdy nerw nasz woła o siłę, każda myśl pyta się o wieczność.

Tak olbrzymie pragnienia zdoła zaspokoić tylko niesłychana twórczość.

I ztąd rozbrat między nami, a kościołem nauczającym. — My nie możemy uznać za określoną ilość dogmatów — gdyż zdaje się nam, że w każdem drgnieniu naszego serca ukrywa się tajemnica — treść dogmatu.

Józef Mirski.

Hejnał.

Jak Wenedów król,
Srebrnobrody Wid
w biały się ustroję
płaszcz —
i w te moje
złote
włosy
łopianowy chaszcz
zaplotę
i koronę
z czarnych wdzieję róż,
jak Wenedów król,
jako Wid.

*
* *

Jak Wenedów król,
Córę — cud,
Córę — mit,
rozświetlony Kwiat,
siedmiostruną harfę moją
z sobą zwiodę w świat:
bo mnie czeka trud,
twardy bojów trud;
tedy zciszę
wrzawę burz,
zduszę głosy,
w duszy mojej rozdzwonione
na żałobny ton,
na Radości zgon,
serdeczny żal!
i rozpostrę tajną ciszę,
co rodzi grom,
na ducha Ból...
Jak Wenedów król,
córę swoją,
Męczennicę...
....

*
* *

I do rąk
złoty kruż
święty Gral
i gliniany dzban
mym łzom —
pochwycę
i owinę
we żmijowy wian —
złoty kruż
słonych pełen łez —
na godzinę
Mąk
i trwóg —
na udręczeń kres —
na słonecznej żar pożogi,
by przed Słońcem, co mi Wróg,
strzegły Żmije łzawych strug,
na wijatyk żmudnej Drogi —
ja, Wenedów król,
łzawnicowy wezmę dzban —
Niech mnie poją,
niech mnie karmią — łzy!!

*
* *

Ja Wenedów król,
Upior — Król,
z córą moją,
Męczennicą,
do dalekich dążę gór,

co się kąpią w sinej mgle —
do dalekich idę Wód,
co śpią skryte w głazy,
gdzie są Skarby pogrzebione,
stróżowane Tajemnicą —
Wiodą łuny mnie czerwone,
w duchu moim rozwidnione,
i ognistoskre Kolumny,
tajemnicze drogowskazy;
wiodą gwiazdy, z wodnych den
zmartwychwstając,
gdzie je Sen
w martwość skał:
na gór czubach — hen —
błękitnością płoną —
Jam to czuł,
przeczuwając,
że mi wskrześnie kiedyś Dzień,
żywy — dumny —
mój!! —

* * *

Wprzód
mnie czeka z Słońcem trud
i bój! —
bo mi Wróg!
bo mi złotą błyskawicą
wyżarł oczu moc
i w noc
chciał ducha wgrześć
żem odmówił córy wwieść
w pałac — męczennicą!

* * *

Z nocy idę w złote rano,
ze snów idę w żywy Dzień!
w porę idę rozśpiewaną
życiem słodkich tchnień —

Przed mem okiem góry sine
z mroków łonią się;
każda w świetlną się wyżynę
szczytem pnie — pnie — pnie —

* * *

Ha! na jednej stanął — On!
czechtem czesze bursztynowem
swój kędziorny, rośny włos,
w przestwór nieb
rozchwiany!
a ponad nim złoty dzwon
Olbrzym — Dzwon,
na błękitach się rozhuczał
szklany — [w głos
że ten wichr
dźwięków wichr,
w ducha mi uderzył trwogą!
— — — — — —
I roześmiał się na szczycie
mój słoneczny Wróg!
że tak kocham — życie,
ja — Wenedów król,
Kapłan — Wój —
i Wid,
ja — tchórz!!
Wichrem ech —
ten szyd,
ten śmiech

* * *

rozegrzmiał się wśród gór!
Ze snu — Córy niema!
Harfo święta,
w śpiew!!
w chór!!
w bój!!
palce moje targa gniew —

w głos!!
twoich strun!
świętych Run!!
Burz!!
Zerwij niemość!
zerwij pęta!!
w głos! — w głos! — w głos!!...
— — — — — —
— — — — — —
— — Przeklęta!!!
— — — — — —
Otom Wid, otom Król!
Otom jest zgromiony lew,
w niemocy więzy spętany —
Otom jest Wenedów Król! —
włos mój grozą się śnieży —
na wargach smaki piołunie
na głowie mam łopiany
w ręku łzawnicowe dzbany —
— — — — — —
Córa moja w trunie leży...
w trunie leży...
w trunie...

Lwów, 1904.



Jan Bełcikowski.

SCHERZO.

(FRAGMENT PSYCHOLOGICZNY).

A byłoby to piękne, takie bardzo piękne,
Gdyby nie było smutne, takie dziwnie smutne.

Krzemień szedł umawiać się o lekcyę.

Student — zakordonowiec wie z jakiem uczuciem idzie się umawiać o lekcyę. — Oto marzyło się o przebudowaniu świata, dwanaście orłów ciągnęło człowieka. A tu! przygnębiająca perspektywa — taczka — łańcuch — kajdany. — Przytem umowa z pracodawcą. — Pracodawca wiadomo — to burżua, to wyzyskiwacz, to filister — hołota! i z nim się targować, z nim umawiać? tfu! A przytem uczyć przedmiotów znienawidzonych. — Tu się woła na zgromadzeniach: precz z klasycyzmem! a tu własnymi rękami mordować, dławić tą martwotą, tym trupem. — Gdzie wierność przekonaniom! gdzie siła?!

No, ale ma długi — trzeba z resztą zaprenumerować „Robotnika“, „Iskrę“, „Rewolucjonnuju Rassieju“, trzeba kupić Szopenhauera, Marksa — a tu pieniędzy niema. — Coś się uśmiecha w dali i człowiek idzie umawiać się o tę lekcyę. — Idzie — Idzie . . .

Już cały kwadrans czeka Krzemień w salonie — cały kwadrans! — krew w nim się bu-

rzy. — Toć to wyraźne lekceważenie praw człowieka, uczuć konstytucyjnych — świętości pracy — to świństwo. — On, który darł się w oczy samemu „białemu panu“ Północy, on tego nie ścierpi — on wyjdzie — on plunie na to wszystko — on — I już miał wyjść Krzemień, gdy raptem drzwi się otwarły i wyszła jakaś pani, a za nią jacyś gołąbkowie, jakieś lilie — jakiś tajemny wyszedł czar — Krzemień zmienił się nagle w słup jasności — a ona szybko podeszła doń — spojrzała i przedstawiła się: „jestem matką“ — a potem przedstawiła dzieci — a potem zaproponowała urządzenie próbnej lekcyi. — I Krzemień uczuł, że się z nim stało coś niezwykłego — cały świat poezyi go otoczył — Świat Dantego, Mickiewicza, Lermontowa. — Rozpoczynała się próbna lekcya, a jemu po głowie jęły przelatywać nieśmiertelne postacie Beatryczy, Zosi, Aldony, Tamary.

„To ona — ona — to ten typ“ — szeptał i oczy mu się wydzierały tam, kędy siedziała patrząca i słuchająca. — To ona — to Tamara. —

Spojrzała — i niebiosa grają —
I rzekła słowo — mknie sen złoty,
A w każdym ruchu jej śpiewają
Chorały wdzięku i prostoty —

Nie, nie — to Beatrycza — I zerka Krzemień i szepce:

Na wszystkich patrzy przyjazna —
I miłość taką szle przez oczy
Jakiej nie pojmie nikt kto jej nie zazna —

Nie i nie! — to coś innego! — coś z tych dolin niemeńskich — z tej Litwy — ozdoby — to Ewa, Ewa —

To taki gołąbek łagodny
I wzrok miała uprzejmy, taki pogodny,
Taki anielski —

I spojrzał na nią. — A ona miała w istocie coś anielskiego i gołębiego zarazem — więc czuł jak mu jasność idzie do oczu i wielka rzewność go ogarnęła i zdało się mu, że radby wszystko oddać dla tej jasnej dantejskiej pani.

I przeszło dni kilka — dni promiennych i jasnych — aż — nagle spadła wieść piorunowa. Właśnie wchodził Krzemień na lekcyę, gdy wybiegło przeciw niemu czworo oczu łzawych, a dwoje serc szepnęło: „Mamusi już niema, mamusia już w Meranie“. — A tuż za temi słowami zaszeleściło straszne przeczucie tak, jak to szeleści kosa, szalejąca po złotym łanie — tak, jak to szeleści czarna suknia księdza, gdy spieszy przez korytarze więzienne tam, gdzie w samotnej celi umiera człowiek, wieczny więzień. —

I odtąd często widzi Krzemień czworo oczu łzawych i słyszy dwoje szeptów smętnych „mamusi już niema — mamusia w Meranie“.

I jakaś rzewność go ogarnia. — I radby niebios uchylił tym sierotom, tym gołąbkom jasnym. — I radby cały świat przetworzył tak, aby znikła ziemia, a wzamian aby zstąpiły piękne chóry świateł, i lilie nieśmiertelne i róże

ciche, a między tymi różami i między tymi liliami oni — gołąbkowie, a przy nich on — niby słup światła — I sam się dziwi Krzemień i nie wie zkąd to? zkąd te uczucie nagłe, niewstrzymane. — Czyżby on, pozytywista, wpadł w błędne koło „siedmiu zagadek bytu“, czyżby się znalazł tam, kędy Spencer woła: „Stójcie, ignorabimus“. — I zamyśla się Krzemień głęboko i widzi w zamyśleniu wizyę romantyczną. — Widzi sosnę północy, śniącą o palmie południa i „coś“ i „jakąś dal“ i długą aleję cieniów skrzydlatych, a między nimi ją, idącą ku niemu i wyciągającą dłoń swą białą i szepczącą: „jestem matką“. — I zdaje mu się całkiem naturalnem to, co się dzieje w duszy jego.

I widzi czworo oczu łzawych i słyszy dwoje serc szepczących: mamusi już niema — już niema!

I raz pod wpływem nastroju podniósł Krzemień oczy w górę i westchnął cicho — poczem wziął pióro do ręki i napisał wiersz:

O niech wam słońce będzie najłaskawsze
I niech wam chmury zmienia w harfy złote,
I do mgieł smętnych niech przypina zawsze
Skrzydlate pióra i orlą tęsknotę
O niech wam słońce świeci jaśnie... jaśnie...
Niech się wam w zorzach rozmarza błękitnie,
A, gdy za górą, za sosnową zgaśnie,
Niech sen tęczowy przed wami zakwitnie,...
. . . .
. . . .

I pisząc to, widzi Krzemień czworo oczu łzawych i słyszy dwoje serc szepcących: „mamusi już niema, mamusia w Meranie“.

Więc rozczula się jakoś dziwnie i pisze na górze: Bardzo kochanym chłopczykom Matysiowi i Broneczkowi na pamiątkę bardzo kochający przyjaciel —

Przeszedł rok. — Dla różnych powodów rozstali się. — I już od kilku miesięcy nie widzi Krzemień „najdroższych chłopczyków, gołąbków jasnych“. Więc nieraz mu smutno i nieraz powtarza:

O, niech im słońce będzie najłaskawsze
I niech im chmury zmienia w harfy złote

I nieraz modli się, nawet i szepcze:

„Ja Matko Boża, dzisiaj z modlitwą
„Pokorną idę do Ciebie —
„Nie o zwycięztwo proszę przed bitwą,
„Nie o królestwo na niebie.
„Proszę Cię, Matko, o sny dla nich złote
„I o złocistą jutrzenkę
„I o srebrzyste łąki kwieciste
„I o anielską piosenkę —“.

I nieraz w cichej ekstazie mówi za filozofem: „Zejdźmy do nich i stańmy się jako oni — i niech nas otuli ta Jasność i niech nas otuli ta Cisza. —

. . . .

Aż nadszedł dzień ów promienny i Krzemień mógł powiedzieć śmiało: jutro pójdę, odwiedzę moich kochanych chłopczyków — mych „gołąbków

jasnych“. Ale do jutra nie mógł wytrzymać i wieczorem tegoż dnia jeszcze wyszukał oczyma ich okno i z rzewnem drżeniem stał, patrzał, czekał. — Nagle jedna główka błysła koło lampy, a Krzemień aż podskoczył. — „To on“, to on „gołąbek“ — szepnął — „to on“ — szepnął i zawstydził się, i odszedł. — Zawstydził się Krzemień doktorant filozofii, pozytywista — marzyciel — i odszedł.

I dopiero nazajutrz, — uśmiechający się, — włożył wiersz do kieszeni i poszedł do nich — do jasnych. — I idąc szeptał cicho —

O, niech wam słońce będzie najłaskawsze
I niech wam chmury zmienia w harfy złote

i idąc patrzał z tryumfem dokoła — i oczy podnosił ku słońcu —

I po kilku minutach już stał na schodach — i wsłuchiwał się w śmiech wesoły i głosy drogie. Nareszcie zadzwonił. . .

„Czy państwo są w domu“ zapytał służącego. — „Zaraz“ mruknął służący — i poszedł i drzwi zamknął przed nosem. — A Krzemień stał i słuchał. . . . A przez drzwi zamknięte szły śmiechy — a Krzemień stał pod drzwiami. . . i słuchał. . . .



Witołd Bunikiewicz.

Szalony tan.

. . . I porwał nas taniec, muzyka i szał,
przy sercu płonącem jam dziewkę swą miał,
płynąłem po strojnej sali. . .
i czułem jej drżenie i talię i biust
i ogień, co płonie z rozwartych jej ust
i rozkosz, co w oczach się pali. . .
aż wreszcie wyrzekłem do dziewki mej tak:
„Hej moja jedyna — daj przecież mi znak,
żem jeden z twych kornych wasali“! —
i różę mi dała z bieluchnych swych rąk —
i tańcem pomknęła i naprzód i w krąg
z uśmiechem ust świeżych korali,
O dalej — o dalej — o dalej — a w tan . . .
Z szmaragdów i złota uwiję ci wian —
I z pereł, co w morskiej śnią fali.

I odtąd na sercu mam wiecznie ten dar
i pancerz żelazny, co w piersi się wdarł,
na ostre pociski ze stali —
Hej dziewko jedyna, gdzie turniej i bój,
gdzie bitwa i hałas — rycerzy gdzie rój,
tam topór mój z dźwiękiem się wali —
gdzie stąpię, tam pada mój brzeszczot — i trup;
hej dziewko jedyna — hej dziewko tak zrób
by w wieki mi ciebie oddali —
Mam skarby, na skale kamienny mam gród,
huf strzeże pancerny żelaznych mych wrót,
a w sercu mem ogień się pali —
O dalej — o dalej — o dalej, a w tan . . .
(W wichurze się rozwiał płaszcz w srebrną mgłę tkan)
Ach rozkosz z ust twoich korali . . .!

Do ślubu ci zwiodę przepyszny zbiór szat,
Sto beczek zapalę, niech płonie wskróś świat,
niech ogniem się w koło rozpali —
hajduków roześlę na niwy i bór,
na ucztę weselną stuletni zmrze tur
i stado lękliwych rogali.
Hej dziewko daj ust swych! — (w nich rozkosz i czar)
Hej dziewko daj ust swych! — (z nich rozkosz i war
ku sercu mojemu się wali.)
Niech pryska ma boleść i smutek i ból
tyś moją królową — jam sługa i król,
hej taniec nas jeden ocali...!
O dalej — o dalej — o dalej, a w tan . . .
Słodkiego się wina zaperli nam dzban,
zaszumi muzyka na sali.

I w niebie szukałem szczęśliwych mych wróżb
i niebo wyrzekło: najcięższa to z służb,
swe dole zawieszać na szali...
„O dajże mi serce i pierścień mi daj,
a potem muzyko do ślubu nam graj,
w weselnej się rozdzwoń sali...!
. . . .
Do drogi — Hej konie i służba tu wraz!
(bo dziewka mi zmiękła)... — do ślubu już czas —
więc pocóż będziemy tu stali...?
. . . .
Piekielna to jazda... z dróg bije nas kurz,
— ócz szkoda — więc dziewko — ty oczy swe zmróż
do świętej jedziemy Walhali..
O dalej — o dalej — przez niwy, przez łan . . .
przez rzeki — przez góry . . . (szalony nasz tan!)
. . . .
Patrz — światła błyskają w oddali . . .

Jesteśmy.. (jak płonie kościelnych żar świec),
klęczymy... (u nóg bym ja twoich chciał zledz)

Słysz — (w chórze pieśń świętą zagrali.)
Ślubuję ci miłość... (na wieży łka dzwon)
Ślubuję ci miłość.. na wieki — na skon —
(jak dziwnie się dziwnie, dzwon żali).
Dzień jeden — a potem niech zmoży nas sen,
noc jedna — a potem na wieki iść hen —
gdzie zimna nas bryła przywali —
(noc cicha się ściele — miłosna drży woń —)
— O daj mi raz jeszcze — o daj mi raz dłoń —
Hej taniec nas jeden ocali!
O dalej — o dalej — o dalej a w tan . . .
Zbroczyłem w krąg ziemię strumieniem mych ran . . .
A teraz . . niech szczęście nas spali!



M. Ul.

Morris Rosenfeld.

(Szkic)

Iskra przebiegła tłumy i wszechpotężna myśl odrodzenia zaświtała w umysłach żydowskich prowodyrów i budzi uspione instynkty, stare rządze, dawne pragnienia i nadzieje . . . . . Ideał zmartwychstać majacej córy Syonu, którą rycerz ten budzi do nowego życia, jak zaklętą królewnę w bajce, ten ideał odwieczny a przecież wiecznie nowy owładnął narodem paryasów społecznych, zapanował nad ich bytem, stał się ich dążnością i celem, bodźcem do życia czynów miast dotychczasowego letargu i półsennych podrygów. A masa bezdomnych proletaryuszy tego narodu, na których Nemezis historyczna głównie piętno krwawe i bolesne wyryła, spogląda w dal, w siwą bezbrzeżną toń przyszłości, zwraca się na Wschód, w dziedziny przodków, tam gdzie jej ból i raj, ułuda i rzeczywistość, gdzie jej nadzieje i możliwość ich spełnienia.

A obok nuty tęsknoty do krainy mlekiem i miodem płynącej drży druga nuta i rozbrzmiewa w hymn boleści i ogromnego, bezbrzeźnego smutku nad niedolą Żyda † wiecznego tułacza, który znikąd ratunku, znikąd zbawienia spodziewać się nie może, który upada ze znużenia a ze zbolałych piersi mimowoli wyrywa się okrzyk rozpaczy:

„Daremna walka, szaleje wiatr,
„Pomdlały ramiona i dłonie,
„A morze huczy, pieni się, wre —
„Łódź moja, łódź moja tonie!“

(*M. Rosenfeld:* Jesienne liście tłom. M. Markowska).

Ucisk narodowy z jednej strony, a twarda walka o byt z potężnym wrogiem kapitalizmu z drugiej strony,

oto ramy, w których odrysowywuje się nam postać poety — proletaryusza, piewcy proletaryatu żydowskiego, Morrisa Rosenfelda.

Muza jego wstąpiła w służbę klasy pracującej, tych proletaryuszy, którzy pracują, aby żyć, którzy jednak ulegają ciężarowi pracy, stają się pod nim maszyną, i tracą wszelką moc czucia i myślenia. Rosenfeld nie jest poetą z kurtuazyi, z mody; jego wiersze nie są „robione;“ on jest poetą z bożej łaski; pisze, bo musi, bo go coś do tego pcha i zmusza, a utwory jego — to jego życie całe w pełnem tego zdania znaczeniu. Urodziłem się — pisze nam o sobie — w małem miasteczku Boksza w Królestwie Polskiem. Dziadek mój i ojciec byli rybakami, jak wogóle z rybaków składała się nasza rodzina. Miasteczko leżało w miłej okolicy między lasem i jeziorem. Byłem dzieckiem, kiedy rodzice moi zmuszeni byli przenieść się do Warszawy. Posłano mię do „chederu“ i tam uczyłem się Talmudu, a nadto nieco polskiego i niemieckiego, w 18 roku życia ożeniłem się i wywędrowałem do Holandyi, gdzie przez 6 miesięcy uprawiałem szlifierstwo kamieni. Przez trzy lata pracowałem w londyńskich Lweat-Shops, poczem wyjechałem do Ameryki i tu do dziś dnia przebywam. W ciemnych, stęchłych warsztatach New-Yorku nauczyłem się opiewać prześladowanie, ból i nędze. W dzień pracowałem, w nocy pisałem poezye. Warsztat zniszczył mi zdrowie. Musiałem porzucić pracę przy maszynie i zająłem się dziennikarstwem — Trochę lepiej zaczęło mi się powodzić, kiedy ukazał się zbiór moich „Songs from the Ghetto“ (Pieśni getta).“ One do dziś dnia stanowią główny substrat jego myśli, one są jedynym większym zbiorem wierszy, w których się odzwierciedla jego dusza, charakter i sposób myślenia. Pieśni te rozpa-

dają się na 3 części: na 1) pieśni pracy 2) pieśni narodowe i 3) miscellanea. Podział to jednak sztuczny, naciągany, albowiem we wszystkich częściach kwili serce poety z żalu nad utraconą wolnością i prześladowaniem braci, we wszystkich buntuje się jego jaźń przeciw systemowi wyzyskiwania ubogich przez klasę posiadającą. Dlatego powiedzieć można, że „pieśni pracy Rosenfelda są westchnieniami żydowskiego proletaryusza, a jego pieśni narodowe żalami sproletaryzowanego Żyda". Oto ich początek:

„Wokoło mnie huczy i świszczy maszyna,
„Harcują szum, łoskot — potęgi zuchwałe,
„Że dusza maleje, a moje zanika
„W maszynę się zmienia jestestwo me całe.
„Pracuję, haruję i ślęczę bez liku;
Powiedzcie te dla kogoż moje ślęczenie?
„I czemu pracuję? Nic — nie wiem, nie pytam,
„Bo człowiek — maszyna postradał myślenie"

(„Warsztat" tłom. *W. Esde.)*

Ta praca bez końca zabija nie tylko ducha robotnika, nie tylko mu zgina grzbiet i łamie mu życie, ona mu niszczy także rodzinę, której przez cały dzień nie widzi, bo kiedy późnym wieczorem znużony wraca do domu, wszystko pogrążone we śnie a nazajutrz wczesnym rankiem opuszcza progi domowe i znowu zdąża do maszyny. Robotnik żydowski nie ma czasu na miłostki, a kiedy ukochana odwiedza go w warsztacie, ledwo się do niej odezwie i odprawia ją prędko gorzkiemi słowy:

„Teraz, droga, idź już stąd
„Nieznaną tu miłości moc.
„Patrz! życie nasze wszczyna się,
„Gdy dawno już nastała noc".

(„Ukochanej" -- tłom. *W. Esde).*

Niekiedy czarna „Rozpacz szponami rozrywa mu serce i na wszystkie życzenia poety odpowiada z gryzącem szyderstwem: Jedynie śmierć potrafi zaspokoić twe pragnienia. Oto wyjątek z tego wiersza:

„I nigdyż spokoju i nigdyż wytchnienia?
„W dzień choć bez pana groźnego spojrzenia,
„O twardych, złych słowach zapomnieć na chwilę,
„Zapomnieć o wrzawie, zamęcie i pyle,
„O wiecznej gorączce, o piekle warsztatu
„Zapomnieć — innemu przypatrzeć się światu.
„Zapomnieć? spokoju? — Ej bracie toć pono
„Dość wcześnie ci jeszcze iść spocząć sądzono.
„Przegląda się słońce w wód jasnym krysztale,
„Po toni jeziora za falą mkna fale,
„Igrają i szemrzą — w oddali łódź płynie —
„O dobrze być musi w tej chłodnej głębinie!
„Zmęczone i chore od pracy me ciało
„Wśród fal tych rzeźwiących znów siłby nabrało.
„Co kąpiel? tak nęci jeziora cię toń?
„Toż wkrótce już obca obmyje cię dłoń".

(tłom. *M. Markowska).*

A przyczyna tej nędzy, tych nieszczęsnych stosunków, w których jedni żyją błogo i szczęśliwie a drudzy giną z głodu i zimna, są bogaci, którym przecież robotnik pod każdym względem jako istota żyjąca jest równy, bo i on potrafi tak żyć, jak oni, i on chce użyć świata, i on może w danym razie walczyć i umrzeć za ideały! („Czem jest świat?").

W pieśniach narodowych opiewa poeta okropne położenie bez wyjścia całego narodu żydowskiego, jego cierpienia i katusze, całą nienawiść i pogardę, jaką go darzą inni. Pieśni te rozpoczyna introdukcyą:

„A dzisiaj mi lutnio zaspiewaj weselem! . . . . .

„Daremnie, daremnie! Brzmi śmiech twój jak zgrzyt!

. . . .

„Bo śmiech dziś żydowski tak gorzki, bolesny —
„Jak piersi rozbitej westchnienie czy jęk . . . . .“

(„Sefira“ tłom. *M. Markowska*).

Od czasu gdy naród proroków i kapłanów stracił niepodległość, gdy symbol tej wolności, świątynia żydowska, legła w gruzach, od tego czasu poeta nie może swej lutni nastroić do pieśni weselnej, radosnej. Bóle i cierpienia, wędrówka po morzach i lądach ciągła, bez końca — oto los Żyda. A jednak wszystko ma swój kres, mieć go musi. Wnet puhar goryczą po brzegi się napełni a pierwsza kropla nadmiaru będzie zwiastunem zbawienia, będzie „żydowskim majem“ przyszłości, pełnym woni i szczęścia.

Słusznie też powiada A. Schreiber o liryce Rosenfelda: „Muzą był mu — ból, towarzystwem — szyderstwo, bodźcem — ucisk, nadzieją — uwolnienienie spętanej wolności“. Pieśni Rosenfelda zawdzięczają swoją wartość nie tylko treści, lecz przedewszystkiem wspaniałej rytmice i malarstwu dźwięków, doskonałej onomatopoei, których w tłomaczeniu pod żadnym warunkiem oddać nie można. Poeta używa swego języka (żargonu) na kształt delikatnego instrumentu, którym budzi jużto strach i lęk, jużto wściekłość i burzę, jużto najłagodniejsze tony, wkradające się powoli do serc naszych, aby je oczarować i omotać jak pajęczyną. Stąd jest Rosenfeld w stanie odmalować burzę na morzu w ten sposób, że Vrchlicky zalicza wiersz ten do największych utworów poetycznych XIX. wieku“. W wierszu „Żydowski maj“ n. p. jest rytm tak spojony ze sztuką oddania dźwięków i barw przyrody, że zdaje się nam iż możemy słyszeć śpiew słowika i widzieć rozkwitanie kwiatów.

Wreszcie znaczenie Rosenfelda polega na szczęśliwem połączeniu dwóch pierwiastków, społcznego i kulturnego, którem otworzył nowe źródło poezyi, którem odkrył nowe tony i nieznane dźwięki pełne harmonii, blasku i nęcącego powabu . . . . .



Multatuli.

Bajka o japońskim kamieniarzu.

Żył sobie raz pewien człowiek, trudniący się łupaniem skał.

Ciężka to była praca, bo chociaż wiele pracował, to jednak zapłatą była nieznaczną, dlatego też czuł się niezadowolonym.

Wzdychał, ponieważ praca była uciążliwą I wołał. — Ach, gdybym był bogaczem, spoczywałbym na baleh, baleh z Klambu*) z czerwonego jedwabiu

I przybył anioł z nieba, który rzekł:

Stanie ci się wedle życzenia!

I został bogatym. I spoczywał na Baleh — baleh a Klambu była z czerwonego jedwabiu.

I raz przejeżdżał przez kraj, władca tego państwa z jeźdźcami, którzy poprzedzali jego powóz. I na tyle wozu jechali jeźdzcy i złoty pajong**) trzymano nad głową królewską.

A skoro to widział bogaty mąż, zazdrość żółta wtargnęła do jego serca, że nad jego głową nikt nie trzymał złotego pajongu i już był niezadowolonym.

Wzdychał i wołał: Chciałbym być królem,

I przyszedł anioł z nieba i rzekł:

---

*) Firanka.

**) Parasol, oznaka szczególnej godności.

Stanie ci się wedle życzenia.

I został królem. A przed jego wozem jechało wielu jeźdźców i z tyłu wozu byli jeźdźcy a nad jego głową trzymano złoty pajong.

I słońce rzucało gorące promienie i spłomieniło żarem ziemię tak, że uschła.

A król skarżył się, że słońce pali mu oblicze i ma moc nad nim. I nie był zadowolonym.

Wzdychał i wołał:

Pragnąłbym być słońcem!

I zjawił się anioł z nieba i rzekł:

Stanie ci się wedle życzenia.

I był słońcem. I zsyłał promienie do góry, na dół, na prawo, na lewo — wszędzie naokół.

I opalił trawę na ziemi i oblicza książąt, którzy ziemią władnęli.

A chmura stanęła między nim a ziemią i promienie słońca odbijały się od niej.

I rozgniewał się, że oparła się jego potędze i żalił się, że chmura silniejszą była od niego — i nie czuł zadowolenia.

Chciał być chmurą, która była tak potężną.

I przybył anioł z nieba i rzekł:

Stanie ci się wedle życzenia!

A z chmury upadł deszcz i wzbogacił wody rzek a bystre fale unosiły bydło wraz z sobą.

I spustoszył wylewem pola...

I opadł na skałę, która nie usunęła się.

I zlał potoki deszczu, lecz skała nie umknęła... przed nim...

I gniewem napełniło się serce jego, bo skała pozostała niewzruszoną i moc jego potoków była bezsilną. I nie był zadowolonym.

Wołał: Dana jej moc nademną.

Pragnę zostać skałą.

I przyszedł anioł z nieba i powiedział:

Stanie ci się wedle życzenia.

I był skałą i nie ruszał się, gdy słońce świeciło ani gdy deszcz padał.

A wtenczas przyszedł człowiek z motyką, kilofem i ciężkim

młotem i łupał skałę. A skała rzekła: Co to znaczy, że ów człowiek ma moc nademną i wydziera kamienie z mego łona I nie był zadowolonym.

Wołał: Jestem słabszym od niego... chcę być takim człowiekiem.

I przybył anioł z nieba i powiedział:

Stanie ci się wedle życzenia.

I został... kamieniarzem. I łupał skały z wielkim trudem i pracował ciężko za małym wynagrodzeniem i już czuł się zadowolonym.

Tłum. *Tadeusz Biliński.*



Józef Smolik.

WIZYA.

O morze! — o ponure morze niezbadane! —
Słońce zatapia w tobie krwią zaskrzepły krąg,
Pożegnalne po wodzie rzuca smugi rąk,
Co gasną szarym zmierzchu prochem pogrzebane.

Odmętem — ócz spojrzenia jak łodzie strzaskane
Błądzą, gdzie łka przedskonnie uśmiech złotych wstąg —
Na niebie chmur jak trumiem czarny widzę ciąg —
I słyszę wód pojęki ciężkie — ołowiane.

Po groźnej — gdzieś w bezkresy rzuconej płaszczyźnie,
Podartych szmat ochłapy mając za okrycie,
Zbliża się wyschła postać we włosów siwiźnie. —

Skurczem powykrzywiane jej pożółkłe szczęki —
W oczach wyje zarzewie nieprzytomnej męki —
I zwolna rąk badyle wznosi ku mnie — życie...

We Lwowie, 1904.



A. Sch.

OCENY.

Wasyl Stefanyk: **„Klonowe liście“**, tłumaczył z ukraińskiego (?) Moczulski. Lwów, Księgarnia Polska.

Dziwna książeczka — tak dziwna jak dusza ludzka i jak ona bezdenna, dysząca bólem, rozpaczą i bezradnością, prosta jak serce chłopa, a tak bezbrzeżnie smutna jak te pola opustoszałe w czas jesiennej słoty, po których się łkaniem wichry tarzają, nucąc jak rozpacz odwieczną pieśń — skargę o łzach serdecznych i tak obfitych, tęsknotach, cichej rozpaczy, mękach i bolach nikomu nieznanych i o tej walce codziennej z losem, co uwziął się wszystko wydrzeć — wszystko, z czem się już zrosło i zżyło, co drogie, ukochane i umiłowane na wieki... A tak to po prostu powiedziane, takie zwykłe i takie nam znane — znane?

Coś jakby bolesny wyrzut i skarga, żeśmy patrzali a nie umieli wiedzieć.

Oto: Chłop pijany straciwszy ojcowiznę idzie na robotę a teraz siedzi w karczmie, drżącemi palcami wyszukuje jeszcze pozostałe miedziaki i pół przytomnie opowiada ostatnie z chatą pożegnanie: „Pocałowałem próg i idę. Wychodzę na podwórze a las szumi, słowami przemawia: wróć się powiada Antoni, do swojej chaty wróć. Idę... A one w płacz Jak małe dzieci płaczą. Las do nich mówi a one nic ino łzę po łzie roszą... Oby tak wrogom moim było lekko konać, jak mnie lekko było chatę porzucać.

Ojciec jedzie na pogrzeb syna jedynaka, który w mieście przy wojsku odebrał sobie życie. „W trupiarni na wielkiej, białej płycie leżał Mikołaj. Piękne włosy we krwi się pławiły. Wierzch czaszki odleciał jak łuska. Ojciec padł na kolana i modlił się. Całował nogi jedynaka i głową tłukł:

„Och dziecko! Gotowaliśmy dla cię wesele i muzykę zamawialiśmy a ty tymczasem odszedłeś nas nieboże“. Płacząc ubierał syna na śmierć i w bieluchną wyszywaną koszulę, w pas tkany i w kapelusz z pawiemi piórami. A syn leżał na zimnej, marmu-

rowej płycie, taki godny i piękny i niby uśmiechał się do ojca...

— W opuszczonej chałupie na nędznym tapczanie umiera kobieta — mąż i starsze dzieci w polu. Wtem dziecko zaczyna w kołysce płakać. Drżącemi rękami zaczyna je kołysać i coraz cichszym, cichszym głosem śpiewając mu, kona...

— Stary wieśniak wyjeżdża do Kanady — przez 20 lat uprawiał swoją ziemię — idzie za innymi, bo musi. Żegna się z wszystkimi a tak mu tej ziemi żal, że płacze jak dziecko, szaleje z żalu. „Weźcie siekierę — woła — i ciśnijcie mię tu w pierś, może mi żółć pęknie, bo dłużej nie wytrzymam! Ludzie, taki żal, taka tęsknota mię okryła, że nie wiem co się ze mną dzieje. I łzy się toczą po jego czarnej twarzy, jak perły po skale...

— Ojciec topi własne swoje, ukochane dzieci, bo nie ma im co dać jeść a żal mu patrzeć jak powolnie konają; starsze się wyprosiło od śmierci. Wskazuje mu drogę do wsi a sam idzie się oddać władzy...

Rodzice wymawiają chorej córce, że już nie — pieniędzy na leki nie ma i tak już wszystko jak w błoto wyrzucili, nie będzie nawet za co na śmierć ubrać. „Dziewucho — mówi ojciec — co ja z tobom poczne. Leżysz i leżysz, ani tobie życie, ani śmierć. A ja grosz tracę i tracę po próżnicy. Żeby raz koniec był albo tędy, albo owędy. Tobie lży i nam lży"...

— Chłop — robotnik, dawniej sam gospodarz, podpala obejście swojego chlebodawcy, mszcząc się za wszystkie krzywdy swoje i bicia, za życie swe sterane i swoją boleść; a czyni to bez wyrafinowania i podstępu, jeno z trwogą i rozpaczą, jak jakiś straszny obowiązek...

I tak już do końca. — Oto mniej więcej treść książeczki Stefanyka.

Od czasu Iwana Fedkowicza i Marka Wowczaka, nikt tak nie odczuł duszy chłopa ukraińskiego jak Stefanyk. Różni się jednak od nich oryginalnym sposobem malowania obrazków codziennych i znanych a przecież zawsze świeżych i pełnych nowych zjawisk, że patrzymy na nie jak na coś nieznanego — a przyczynia się do tego przepyszny język zwłaszcza w dyalogach, język o odrębnej zupełnie frazeologii i muzyce, w którym czas poezyi i natchnienie leży, jakieś piękno uroczystej harmonii i miłość serdeczna dla wszystkiego o czem mówi tylko.

Możnaby go — jak mówi w świetnej sylwetce o Stefanyku Moraczewski — określić słowem żywiołowo-serdecznym. Nie jest to miłość demoniczna, która sercem gryzie, ani miłość samego siebie odzwierciedlona w świata przejawach. Miłość Stefanyka jest pobłażliwą, ślepą, nierozumną miłością ludzi do ziemi. I jeszcze je-

dno. Stefanyk umie czcić. W utworach jego jest pietyzm i nabożność dla każdego uczucia niemal, dla myśli ludzkiej, dla uczuć ludzkich, dla grzechów ludzkich szacunek, cześć i poważanie. Żaden przymiotnik lichy nie waży się stanąć obok pięknego przedmiotu, żadnej myśli nie skrzywdzono podejrzeniem.

Trudno określić — jak ktoś powiedział — na czem polega cała ta wielka wartość artystyczna i co stworzyło ten przyciągający urok nowości, tak jak wogóle n. p. trudno powiedzieć co to jest sztuka. W każdym razie jest Stefanyk oryginalnym na każdym kroku, czy to w odkrywaniu tajnych głębi duszy, z jej bolem i tragedyą, czy w opisach lub malowaniu sytuacyi czasem wprost przerażających, czy nawet w niesłychanie pięknych zwrotach, przysłowiach i porównaniach, których pełno na każdej stronicy, czy też w kreśleniu pojedynczych postaci, które rzeczywiście mówią, śmieją się i płaczą jest Stefanyk sobą nie naśladuje nikogo, na każdem niemal słowie wyciskając swą mową wszechwładne piętno oryginalności. I w tem może tajemnica jego twórczości. Bo jak mówi Rousseau: Trzeba być i pozostać sobą, to bowiem, czem się człowiek wyróżnia od reszty, nie to, w czem się do niej zbliża, wartość jego stanowi.



A. Sch.

Miłosz Faliński: **„Na bursztynowem wybrzeżu“**, dramat w 3-ch aktach. Kraków, Księgarnia D. E. Friedleina, — Petersburg, Grendeszyński.

Wydanie wytworne, piękne ozdoby J. Jagielskiego, przyjemny format i ładny papicr — to cecha zewnętrzna utworu; wewnętrzna zastanawia śmieszną napuszystością, dziwnie naiwnymi frazesami, brakiem koncepcyi, ubóstwem artystycznym i wzruszająco-zuchwałą efronteryą autora. Oto jej próbki, wyjęte z czterech przedmów (aż tyle!) p. Falińskiego: „Utwór ten odznacza się nadzwyczajną (!) znajomością tła a jako dramat posiada legendowo przedziwną i bardzo (!) złożoną intrygę, przewijającą się wśród artystycznie traktowanych sceneryi zasługujących (!) na wyróżnienie": Dalej: „Legenda ta jest poezyą sielankową więcej niż dramatem i nie posiada chorobliwej męczarni modnych dzisiaj bigosów scenicznych" (a ha !). Dalej: „Utwór ten znany jest w szerokich kołach znakomitego towarzystwa, gdzie powszechny budził entuzyazm" (No, no!) Wreszcie: „Wystawiony starannie i ze zrozumieniem (zaprawdę trudnoby

to było!) „powinien mieć" niesłychane powodzenie i wielką sympatyę publiczności" (Tableau!!).

Treścią tego wszystkiego są okropnie miłosne dzieje Kiejstuta i Biruty, zakłócone czarnym, przeczarnym charakterem Raudasa, prócz tego, całe akwaryum nimf, topielic, wodników, tłumy kapłanów, kapłanek, westalek, rybaków i t. d. do końca „dramatu", przy akompaniamencie najstraszniejszych neologizmów ze żmudzkiego, litewskiego i — nie wiem już — jakiego języka, z senzacyjną płaskością tematu i rozbrajającem niedołęstwem twórczem.



Sztuka polska. Ostatni zeszyt równie starannie i wytwornie wydany jak poprzednie, przynosi obraz prawie, że nieznanego u nas przedstawiciela polskiego romantyzmu malarza Witolda Pruszkowskiego († 1896) Wizyę Obok „Skrzypek zaczarowanych", „Rusałek", „Świtezianek" stanowi Wizya wybitny etap w twórczości Pruszkowskiego, słusznie tedy sztuka pomieściła ową reprodukcyę, dając przez to sposobność zaznajomienia się z najbardziej oryginalną praca wcześnie jeszcze zmarłego malarza.

Luwr Gierymskiego nie oznacza się bynajmniej nowością ani rysunku, ani pędzla. Stanowi zdaniem mojem jedną z najsłabszych prac Gierymskiego.

Słusznie powiedział Witkiewicz największy chyba znawca polskiej sztuki, że najwięcej z współczesnych malarzy Malczewski posiada „podkładu myślowego", że jako poeta jest naturą ogromnie smutną i zadumaną. „W chacie" poza rysunkiem dostrzega się ową tęsknotę i smutek „Co się bez celu włóczy", dlatego i „W chacie" widzimy ten dziwny nastrój co to targa do głębi, a spływa w serca królów i prostaków.

Ziemia — smutne pastwisko, ogień co ogrzewa skostniałe członki — para pastudów; tak pojął Chełmoński „Jesień" u nas w kraju. Bo też Chełmoński jest artystą tylko naszym — szczerym, prawdziwym. Pierwszy on zdarł z ludu osłonę romantyzmu i pokazał chłopa prawdziwego, takim jak jest — a nie jak go sobie wymarzono. W tem jego największa zasługa.



Ostatni numer **„Illustrirte Zeutung“** wydania lipskiego pomieszcza monografię zmarłego 6 maja r. b. portrecisty niemieckiego Franciszka Lenbacha. Według słów monografii „zmarły tkwił w narodzie niemieckim — skąd go wyrwała śmierć, ku żalowi całej Germanii". Za młodu był murarzem i pracował w warstacie swego ojca, w wolnych chwilach malował portrety „po talarze za głowę“. Zamiłowanie w portretowaniu zostało na całe życie i przez nie urosła jego sława. *Illustrirte Zeutung* podaje reprodukcye najlepszych jego prac: portrety — Bismarka — Moltkego — cesarza Wilhelma I. króla Alberta saskiego i wśród innych jeszcze — portret własny Lenbacha. Piękna galerya!

Moderne Kunst. Majowy zeszyt *„Moderne Kunst“* w szeregu reprodukcyi przynosi kilka nowości. Obraz Waltera Besiga „Burza" i Józefa Gollera witraż. Z literackich nowości — niezbyt oryginalny wiersz Maurycego Sterna: „Ofiary wiosny“.

Jugend. Pod względem artystycznym najobfitszy jest numer *„Jugend“*. Obraz Roberta Eugelsa: „Nowa Wiosna" o przepysznej kolorystyce, Waltera Georg'iego: Bociany — malowane z siłą ekspresyjną nie dają pod względem treści nic nowego. Więcej mówi obraz Aug. Sauk'a „Cachucha" (taniec hiszpański). Literatura prócz „Fanatyzmu“ szkicu z rosyjskiego przez Maika nie zaznacza się wyraziściej. „Pieśń wiosenną" i „Podróż Wenery“ dawnośmy słyszeli.



Naczelny redaktor: *Jan Wadimas Bełcikowski.*
Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: *Eugenia Kucharska.*

Z DRUKARNI J. A. PELARA W RZESZOWIE.

64